ŁAD BOŻY
TYGODNIK dla RODZIN KATOLICKICH
Rok 7 — Nr. 21 (283) Włocławek, 10—16 czerwiec 1951. Cena 60 gr.

Kto uczy innych żyć dobrze a sam żyje źle ten przynosi Dobru więcej szkody niż pożytku; gdyż inni patrząc na takiego wnioskują: Dobro jest fałszem! — i utwierdzają się w złym.

Patrząc wstecz na nasze życie przekonamy się, że chwile które w niem górują, chwile w których żyliśmy naprawdę, to są te chwile, w których czyniliśmy cokolwiek w duchu miłości.

Jak święcić dni święte



Pan Jezus dwunastoletni w drodze do świątyni Jerozolimskiej

Chrystus dał św. Piotrowi zlecenie, aby jako najwyższy pasterz prowadził wiernych do zbawienia: „Paś owce moje, paś baranki moje!“ Dał jemu i apostołom pełnomocnictwo, aby dawał wiernym wiążące normy postępowania: „Cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane i w niebie“. Swą powagą stoi za przykazaniami apostołów i Kościoła: „Kto was słucha, mnie słucha; kto wami gardzi, mną gardzi“.

Apostołowie i ich następcy widzieli się niekiedy spowodowani, by zrobić użytek z uprawnienia do dawania przykazań. Kościół dla dobra dusz zakazał wiernym czytania złych książek, uczestniczenia w niekatolickich nabożeństwach, udziału w seansach spirytystycznych, pojedynków, palenia ciał w krematorium i wiele innych rzeczy. Gdy mówi się o „przykazaniach kościelnych“, ma się przede wszystkim na myśli znane pięć przykazań.

Pierwsze brzmi: „Ustanowione przez Kościół dni święte święcić“. Przypomina nam, że Kościół obok niedziel ustanowił pewną liczbę świąt na pamiątkę niektórych faktów z historii Odkupienia i ku uczczeniu niektórych świętych. Św. Piotr Chryzolog mówi: „Święta ry, w niedzielę rano przejdzie obojętzostały ustanowione, aby to, co się kiedyś wydarzyło, pozostało przez wszystkie czasy w pamięci wiernych“. Te dni święte, ustanowione przez Kościół, wymagają tego samego uszanowania i święcenia, jak niedziela, której święcenie nakazane jest przez trzecie przykazanie Boże. Takie jest w krótkich słowach znaczenie pierwszego przykazania kościelnego.

Ponieważ człowiek potrzebuje dnia wypoczynku dla ciała, dnia skupienia się i zastanowienia dla swej duszy, dlatego z rozporządzenia Bożego i jego widzialnych zastępców są niedziele i święta wolne od zajęć ziemskich i przeznaczone dla spraw wieczności.

Nie powinni jednak wierni widzieć w świętach zachęty do uchylania się od pracy w ogóle. Są takie rodzaje zajęć, które ze względu na konieczne dobro publiczne nie dopuszczają nawet najmniejszej przerwy w niedziele i święta; wystarczy wspomnieć przemysł ciężki, komunikację, szpitalnictwo. Byliśmy nieraz świadkami jak wieśniacy w żniwa podczas niesprzyjającej pogody musieli wykorzystać nawet niedziele na zwózkę suchego zboża. Zniszczony po wojnie kraj domaga się od swych obywateli cnoty pracowitości.

Niedawno ogłoszony został przez Episkopat komunikat do wiernych w sprawie świąt, w którym czytamy: „W dniu 18 stycznia rb. Sejm Ustawodawczy ze względów gospodarczych uchwalił nową ustawę o dniach wolnych od pracy. Wobec powyższego musimy zdać sobie sprawę, że dnie świąteczne: Matki Boskiej Gromnicznej (2 lutego), Wniebowstąpienie Pańskie, II dzień Zielonych Świątek, św. Piotra i Pawła (29 czerwca) i Niepokalane Poczęcie N.M.P. (8 grudnia) — obecnie nie będą mogły być obchodzone w dawnym zakresie. Dni te jednak nie przestają być uroczystościami kościelnymi i dlatego duszpasterze dadzą Wam możność obchodzenia tych świąt w kościołach waszych i ułatwią wzięcie udziału w nabożeństwach w godzinach rannych czy wieczorowych, zależnie od miejscowych warunków“.

W swych świątyniach odprawia Kościół mszę św., odnowienie w sposób niekrwawy owej krwawej ofiary odkupienia Chrystusa na Golgocie. Czy można pomyśleć, że katolik, w którego duszy tli jeszcze iskierka miłości Zbawiciela, i który pragnie swego dobra, bez bardzo poważnego powodu nie pójdzie do kościoła, gdy w niedzielę rano wzywa go dzwon na mszę św.? Albo czy można sobie pomyśleć, że katolik, w którego duszy błyszczy jeszcze płomyk wiary, w niedzielę rano przejdzie obojętnie w poszukiwaniu rozrywek obok domu Bożego, gdy odprawia się msza św.? Chrześcijanie pierwszych wieków nigdy nie mówili o obowiązku uczestniczenia we mszy św. W uczestniczeniu we mszy św. widzieli zawsze tylko prawo i byli radośni i dumni, że na podstawie chrztu mają ten przywilej.

Wielowiekowe doświadczenie poucza nas, że między święceniem niedzieli i szczęściem jest ścisły związek. Lud ujął to doświadczenie w przysłowiu: „Jaka twa niedziela, taki twój dzień śmierci“. W jakim usposobieniu uczynimy decydujący krok z tego do drugiego życia, to istotnie będzie określone przez sposób, jak zwykliśmy w życiu święcić niedziele i święta. I już teraz dobrze spędzona niedziela daje tygodniowi uświęcenie i szczególne błogosławieństwo i całemu życiu zadowolenie, którego pozbawieni są ci, co nie święcą niedzieli. Jedna pani zamówiła sobotę wieczorem stroiciela fortepianów na niedzielę, by jej nastroił pianino. Odpowiedział: „Przyjdę dopiero poniedziałek“. „Dlaczego nie przyszedł pan wczoraj?“ zapytała go w poniedziałek rano. „Wczoraj miałem służbę u tego, który powiedział, że niedzielę trzeba święcić.“ „Tak?“ odparła i twarz jej wyraziła zdziwienie, jakby usłyszała coś nowego. Ale nie przeszła odtąd żadna niedziela, żeby stroiciel nie widział jej w kościele. Jednego dnia uścisnęła mu z wdzięczności rękę i powiedziała: „Teraz wiem, dlaczego pan tak wiernie chodzi do kościoła“. Doznała pokoju, jakiego Bóg użycza tym, którzy go odwiedzają.

Wł. N.

Choćby człowiek zbierał myśli, pieniądze, rzadkie okazy i książki, na co mu to wszystko, gdy się sam rozprasza i traci?

X.

Spowiedź źródłem radości

Jedno z przykazań kościelnych w dość kategoryczny sposób nakazuje „spowiadać się, a raz około Wielkiejnocy Komunję św. przyjmować". Nakaz ten przetrwał próbę ogniową czasu. Nic z tego nakazu nie straciło na aktualności. Istota spowiedzi taka sama dziś, jak i w pierwszych czasach Kościoła; w tym jest siła spowiedzi, bo człowiek jest ten sam — zmieniają się tylko problemy, wśród których żyjemy, ale pozatym wszystko to samo".

„W sakramencie pokuty, przez prawowitego szafarza nałożoną absolucję wierzącemu, dobrze usposobionemu odpuszczają się grzechy, po chrzcie popełnione". (Kan. 870). W tej krótkiej definicji kościelnej widać, że spowiedź, to trybunał, który ma moc odpuszczania, lub zatrzymywania grzechów. Chrystus powiedział: „Komu odpuścicie grzechy, są odpuszczone, komu zatrzymacie, są zatrzymane." Akt pokuty, to jedyny akt, przywracający utraconą przez grzech łaskę uświęcającą, akt jedynie zdolny uczynić duszę sposobną na przyjście Pana. W sakramencie pokuty Bóg odpuszcza grzechy i sprawia to, że stajemy się Jemu podobni, stajemy się dziećmi bożymi. Choć przez moment opuszczamy to „kłębowisko grzechowe", a stajemy się dziećmi bożymi.

Spowiedź musi mieć jakąś dziwną siłę, skoro ludzie starsi na łożu boleści jej pragną, jako największego kojącego balsamu. I nie jednokrotnie zauważyć można, iż człowiek przygnieciony swą straszną bolesną chorobą, po spowiedzi nabiera promienniejszego spojrzenia na świat, bardziej radośnie do dalszych dni swego żywota zabiera się. Słowem, czuje się lżej.

I słusznie — bo nielada zrzucił z siebie ciężar; a ciężar grzechowy, który jest daleko gorszy od wszelkich ciężarów. Grzech sprawia nienawiść wielką w człowieku do Boga, czyni z człowieka nieprzyjaciela. Grzech — to brak, to głód Boga"... a głód — to straszny niszczyciel: wygryza piersi, czerni twarz i gasi blask" (obrazek z lat głodowych, E. Orzeszkowa).

Czy grzech wygryza tylko piersi? To mało, on niszczy całego człowieka, całe jego wnętrze, czyż nie ma na to acz wyraźnych dowodów, choćby po tych labiryntach cierpień — po szpitalach!

Nie tylko czerni twarz, ale ją zmienia nie do opisania, i z optymistycznego, promiennego wejrzenia czyni oblicze posępne, pełne grozy — straszne. Nie tylko gasi blask, ale zakrywa cały horyzont bożych tajemnic, i przysłania jasne spojrzenia, zostawiając człowieka w strasznych mrokach nocy i pesymizmu. Usunąć tego zła żadnymi ludzkimi siłami nie można — sprawić to jedynie może moc sakramentalna!

Na spowiedzi otrzymuje się rady, napomnienia, zachętę do dalszej walki ze złem. Niejednokrotnie dobra rada, jedno dobre powiedzenie może zadecydować o ludzkich losach, o całym życiu.

Wspomnienia zięby

W szczycie starego dębu siedzi mistrz — zięba. Jak rubin połyskuje czerwień a dwiema jaśniejącymi pręgami podkrążona pierś lśni w słońcu metalowym połyskiem. Ale nie tylko pięknym upierzeniem budzi zazdrość. Jest jeszcze coś, czym mistrz zięba wyróżnia się zaszczytnie wśród braci-ptaków. Żaden z nich nie ma tak pięknego głosu jak on.

Jest smutny, jakby zaniepokojony, bo od sześciu dni oczekuje swej małżonki, która opuściła go ubiegłej jesieni, by zimę spędzić na cudnych wyspach wiecznie słonecznej Italii.

* * *

Dziwne to ptaki te zięby. Żyją w przykładnie harmonijnych stadłach, na jesień jednak rozstają się. Samiczka leci na południe, do Włoch, samczyk zaś przeważnie zostaje w swej ojczyźnie. Widać go większą część roku osamotnionego, w stanie kawalerskim. Z tego też powodu wielki uczony i przyrodnik Linneusz, do łacińskiej nazwy zięby „fringilla" dodaje jeszcze przydomek samotny „coelebs" — fringilla coelebs „zięba samotnik".

Mistrz siedzi smutny i zaczyna się już niepokoić. Może i żonkę jego spotkało to, co kiedyś, przed rokiem jemu się przytrafiło.

* * *

Zostawał zwykle nawet przez zimę w polskiej ojczyźnie. Raz tylko, tak sobie dla fantazji, wybrał się również do Włoch.

Lecieli, przypomina sobie, gromadą. Minęli dużo krajów i gór i po kilku dniach znaleźli się nad wielkimi jeziorami północnych Włoch, pokrytymi mnogą ilością niewielkich wysp. Ktoś rzucił hasło do odpoczynku. Po chwili cała gromada już miała usiąść na gałęziach zagajników. W tej chwili jednak sroka wrzasnęła przeraźliwie:

— Na Boga! Nie siadać. To nie są wyspy, jeno zdradzieckie tratwy, sklecone z desek, i płynące po wodzie, na których zbóje ptasznicy sztucznie poutykali gałęzie, posmarowali je obficie klejem, bv was usidlić. Mój brat urwał sobie kiedyś na tym nogę.

Wszyscy czmychnęliśmy wtedy — myśli zięba — i usiedli dopiero na drugim brzegu jeziora. Było tu pięknie. Dużo drzew, a w środku wielki trawnik, na którym jakaś dobra ręka — tak się mogło nam wydawać — rozsypała dużo najróżniejszego ziarna. Zaczęła się więc uczta. Lecz nagle stało się coś strasznego Jakiś przeraźliwy zgrzyt i brzęk rozległ się w pobliżu, jakby ktoś rozbite butelki i stare żelastwo wysypywał z wozu. Zerwaliśmy się i ogłuszeni przeraźliwym hałasem, zamiast wystrzelić prosto w górę, lecieliśmy wpierw, jak błędni, a potem uciekliśmy w gałęzie drzew, by... wpaść w rozpięte pod nami, prawie niewidzialne sieci jednej z najniebezpieczniejszych matni. Takie to sidła zastawiają na nas ludzie, mieszkający w tych pięknych obszarach nad włoskimi jeziorami.

Był to połów. Okrutni ptasznicy zacierali ręce z radości. Kilkaset samiczek, jaskółek i innych ptaków pozabijali, by je w pęczkach sprzedać na targu w Veronie i Mediolanie amatorom ptasiej pieczeni. Jedynie nas śpiewaków zostawili przy życiu, by powkładać nas w klatki i sprzedać w niewolę.

Mnie kupił jakiś handlarz francuski i odstąpił mię pewnemu gospodarzowi, który miał kilkadziesiąt morgów ziemi gdzieś w północnej Francji, koło wielkiego miasta Lille.

Początkowo byłem bardzo smutny. Tęskniłem za wolnością i dlatego przez długie tygodnie nie zaśpiewałem ani razu. O mało nie przypłaciłem tęsknoty straszliwym kalectwem.

Do gospodarza, który coraz głośniej narzekał przed sąsiadami na moje uporczywe milczenie, przyszedł pewnego dnia jakiś obrzydliwy człowiek, wyglądający jak bandyta.

— Co, nie chce śpiewać? — zapytał i dodał zaraz z uśmiechem: — Mam na to sposób. Za parę franków przypalę mu żelazem oczy. Dużo ludzi robi to z swoimi ptakami. Oślepione zięby śpiewają piękniej i dłużej.

Ach, była to chwila okropna. Schowałem się w ostatni kąt swej klatki i przestraszonymi oczyma patrzałem na człowieka, wyglądającego jak bandyta. Czułem już uścisk jego dużych, potwornych łap i żar rozpalonego żelaza, które zaświeciło mi w oczy. I wtedy nagle, sam nie wiem, jak to przyszło, wydałem z siebie strwożony, lecz tak głośny trel, że wszyscy oniemieli z podziwu.

— Nie potrzeba mu wypalać oczu — rzekł gospodarz — on i tak zdobędzie nagrodę na konkursie.

Pobiłem wszystkich.

Jak się potem z narady sędziów dowiedziałem, wyśpiewałem w przeciągu tej jednej godziny około 600 razy mą krótką piosenkę, a śpiewałem tak dźwięcznie i tak mistrzowskie w swym śpiewie dobierałem tony, że uznano mię za króla dnia ówczesnego.

Nagle otworzyły się drzwi. Do oberży wszedł jakiś starszy, poważny pan, którego oberżysta nazywał „profesorem". Odróżniał się od wszystkich wzrostem i dziwnie dobrą, miłą twarzą. W oczach jego była wielka słodycz.

Profesor zbliżył się do klatki, dłuższy czas mi się przypatrywał, a potem zapytał właściciela:

— Ile chcecie za tę ziębę?

Gospodarz początkowo nie chciał słyszeć o sprzedaży.

Po chwili dopiero, zachęcony grubą monetą, zgodził się na ofiarowanie mu pieniądze i oddał mię profesorowi.

Po chwili dopiero,

I teraz stało się coś, czego nigdy nie zapomni me małe, ptasie serce. Profesor ujął mnie delikatnie w dłonie, pieścił przez chwilę, a potem przez otwarte okno wypuścił na dwór. Jak oszalały wystrzeliłem ku górze i rozkoszowałem się wolnością! Po chwili jednak wróciłem przed oberżę, usiadłem na drzewie nad oknem i zaśpiewałem tyle

W ogrodzie różowych malw

Opowieść

Pani Regina Borczańska mieszkała na przedmieściu w małym, białym domku krytym papą. Domek ten był ostatnim stojącym daleko od innych budynków, prawie że na uboczu, zbudowanym na łagodnym, zielonym wzgórzu, u stóp którego przepływał dosyć szeroki strumień, którego brzegi ujęte były w krzewy leszczyny i wysokołodygowe silnie pachnące kwiaty. Dwa kilometry dalej rozciągał się wysoką ciemną ścianą las liściasty.

Był letni wieczór. Chłód idący od dalekiego lasu i wody strumienia szemrzącej swą wieczorną, kryształową monotonną pieśń, dochodził do okien otwartych domku, wciskał się do wnętrza mieszkania wypełnionego zapadającym powoli zmierzchem.

Przy oknie siedziała pani Regina i oparłszy głowę ozdobioną ciemnymi lokami o krzyż okna, rozmyślała. Spojrzenie jej przebyło drogę wyłożoną cementowymi płytami, drogę wiodącą przez ogród, którego ozdobą były piękne ostrzyżone cyprysy letnie (kochia trichophylla) aż do furtki umieszczonej w jasnozielono pomalowanym płocie. Nietylko cyprysy letnie rosnące wzdłuż drogi stanowiły ozdobę ogrodu tego, lecz przede wszystkim malwy. Pani Regina spośród różnych odmian malw, lubując się w nich, wybrała malwy różowe.

Pięknie, poetycznie bardzo wyglądało różowe kwiecie na wysokich łodygach dwumetrowej dochodzących wysokości. Malwy te były swego rodzaju osobliwością. Nic też dziwnego, że na ostatnim konkursie pod nazwą: „Kto posiada najpiękniejszy ogród?“, ogród pani Reginy Borczańskiej uzyskał pierwszą nagrodę, z czego właścicielka była bardzo dumna. Przez dwa lata poświęciła się hodowli tych kwiatów i doprowadziła do takiego wyniku. Kosztowało jej to pracy i trudu, ale co nie potrafi silna wola i wielkie zamiłowanie. Borczańska zawsze mawiała, że kwiaty to poezji anioły, które Pan Bóg stworzył dla człowieka, kwiaty to ozdoba, czar jasnych godzin samotności w szarej codzienności życia wypełnionej pracą. Kwiaty to poezja najczystsza, to modlitwa Piękna przemawiająca do naszej duszy, duszy wrażliwej na to, na to co piękne stworzone przez Boga.

Pani Regina była wdową liczącą lat 37. Mąż jej chorowity bardzo zmarł dwa lata temu i to pewnego letniego wieczoru w tymże ogrodzie na leżaku. Zmarł wśród malw. Fakt ten mocno utkwił w pamięci pani Reginy, a zwłaszcza słowa, ostatnie słowa śp. jej męża Justyna, człowieka o dobrym charakterze, współtowarzysza jej życia. Pani Borczańska siedziała wtenczas obok męża w fotelu i słowa te cichym głosem powiedziane pamiętała do dziś doskonale:

— Skonanie moje rychłe, przedwczesne to dzieło złego człowieka, z którego przyczynienia się mnie niewinnie wtrącono do obozu śmierci, a z którego wyszedłem wprawdzie żyw, ale schorowany na całe życie.

Pan Bóg nierychliwy, lecz sprawiedliwy, Regino. W którąś rocznicę mojej śmierci on się tu zjawi w tym ogrodzie, gdzie ja zmarłem, a wtedy, wtedy...

— Wtedy co? — pytała się pani Borczańska.

— Pamiętaj, wtedy spotka go kara, zasłużona kara za to, co mi uczynił — odrzekł bardzo cichym szeptem, że z ledwością zrozumiała. Gdy pani Regina wstała, aby zbliżyć się do męża i z okrzykiem: „Justynie!“, pochwycić jego rękę, on już skonał. W oczach zgasł ostatni promień życia.

Siedząc i patrząc w ogród różowych malw, pani Regina westchnęła głęboko i wstała od okna. Przeszła cichymi krokami w lekkich swoich skórkowych czarnych pantofelkach pokój i wyszła z domu do ogrodu. Gdy stanęła na płytami cementowymi wyłożonej drodze, zegar wydzwaniał godzinę 20-tą.

Drgnęła. O tym czasie skonał Justyn. Godzina 20 czy 20.30 — tak, o tym czasie. Zamyślona szła drogą, kierując swe kroki w bok, dążąc małą, wąską piaskiem wysypaną ścieżką poprzez wysokie malwy kołyszące się na wysokich łodygach wśród wiewu wieczornego i strząsające kropelki wieczornej rosy, co jak drogocenne perły czy brylanty padały w trawę. Suknia pani Reginy była wnet wilgotna od rosy, stwierdziła to gdy doszła do miejsca nad szemrzącym swój nokturn kryształowy strumykiem. Tu stanęła, rozglądając się. Tak, tu stał leżak — odtwarzała sobie wszystko w myślach swoich — w którym spoczywał schorowany jej mąż, tam zaś stał jej fotel, w którym ona siedziała. Dziś, tak, dziś druga rocznica zgonu jej męża. Przypomniały jej się żywo słowa wypowiedziane przez Justyna, jego ostatnie słowa.

Delikatnym woalem smutku i zadumy zasnuły się oczy pani Reginy. Stała tak wśród lasu malw, pięknych pełnych czaru, uroku różowych kwiatów. Wyraźnie odcinała się jej postać w ciemną otulona suknię jedwabną na tle jasnych malw. W zmierzchu zapadającym odcinała się jej blada twarz w ramie czarnych loków.

Wspomnienie tamtego wieczora było dla niej bolesne. Tak dobrego człowieka jak Justyn nie spotka już nigdy. Pełna bólu i smutku po jego stracie, wiodła monotonny żywot wdowy pracując jako krawcowa, którego to zawodu, jeszcze gdy miała lat 17 się wyuczyła, a teraz jej się bardzo przydał. Klientelę miała rozległą, więc i pracy dosyć.

Dzisiaj była niedziela. Niedzielny wieczór był dla Reginy zawsze wieczorem rozmyślań i wspomnień. Ostatecznie silną wolą oderwała się od tego miejsca, od tego wszystkiego co przypominało, naprowadzało na te chwile smutne. Odwróciła się więc i ruszyła tą samą ścieżką w drogę powrotną w stronę domku. Gdy wstępowała po stopniach kamiennych do drzwi domku prowadzących, usłyszała dzwonienie w przedpokoju. Odwróciła się raptem. Przed furtką stała wysoka postać mężczyzny ubrana w skórzany, podróżny płaszcz. Mogła jeszcze dosyć dobrze rozeznać w zapadającym mroku. Zdziwiona, kto mógł o tej porze jeszcze do niej zabłądzić, poszła w stronę bramy, aby otworzyć.

— Dobry wieczór pani, dobry wieczór — usłyszała nerwowy głos. Czy pani Borczańska?

— Dobry wieczór — odpowiedziała— tak, jestem osobiście.

Sama nie wiedziała jak otworzyła bramę i wpuściła dziwnego gościa.

— Miałem szczęście panią zastać w domu.

— Szczęście? Ja mało wychodzę z domu.

— Przepraszam. Pani jako krawcowa idzie tu i tam do przymiarki więc myślałem...

— Klientki do mnie przychodzą — wyjaśniała. — A zresztą, proszę pana, dziś niedziela.

— Przepraszam, nie przedstawiłem się jeszcze. Jestem Leonard Rafski. Może pani to nazwisko nic nie mówi, lecz... — weszli do domu.

— Lecz, co?

— Powiem pani wszystko od początku.

— Proszę, niech pan siada — rzekła spokojnie, choć jej serce mocno biło. Co to za człowiek? — pytała siebie. — Kto on? Czego chce? Przyjechał skądś, bo widać, że nie tutejszy, ani z okolic pochodzący.

— Otóż, proszę pani — zaczął swoje opowiadanie Rafski. — Pani mnie nie zna i mąż pani mnie nie znał. Zato ja jego znałem wtedy. Podałem go kilka lat temu do gestapo jako człowieka niebezpiecznego dla nich — pani wie. Więc krótko powiem, ja jestem inicjatorem i sprawcą wtrącenia śp. męża pani do obozu śmierci.

— Ach to pan?! — Podniosła na niego głowę. Wstała. Oczy ich się spotkały. Zaległo kłopotliwe milczenie. Rafski wytrzymał to spojrzenie.

— I pan przyjechał do mnie poto, aby mi to powiedzieć?

— Tak. Przyjechałem, bo musiałem

---

pięknych i podwójnych treli, jak chyba nigdy jeszcze w życiu.

To było w nagrodę dla tego poważnego pana tam w gospodzie, którego oberżysta nazywał „profesorem“. My ptaki bowiem znamy także szczerą wdzięczność!

Nazajutrz opuściliśmy ten dziwny kraj, w którym ziębki zamknięte w klatce popisywać muszą się na konkursach i zwiedziliśmy kilka krajów, aż wreszcie osiedliśmy w tym lesie. Uwiliśmy sobie większe gniazdko rodzinne i tu wychowywaliśmy swe dzieci.

— — — — — — — — — —

Tak dumał, dawniejsze dzieje sobie przypominając, dzielny mistrz zięba. Dumał i tęsknił. Znowu była wiosna jak kiedyś pod Lille, w owym wielkim francuskim mieście, w którym straszni ludzie w klatkach na targ przynoszą pięknie śpiewające zięby.

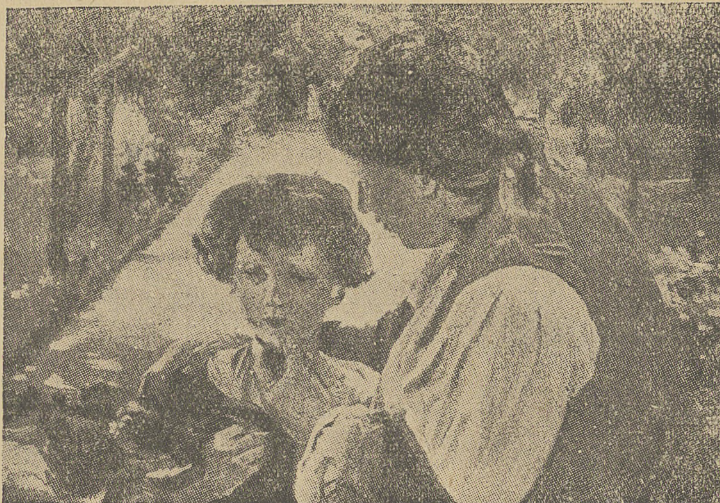
— Jeżeli nic jej się nie wydarzyło, z pewnością zawita w te stare miłe strony! Zanadto mię kocha, by mogła nie wrócić!

Nagle wysoko nad szczytami lasu coś zaświstało. Wytężył wzrok i słuch.

— Tak, to ona! Żadna inna nie ma tak pięknych piór. Żadna inna tak zwinnych nie potrafi zataczać zwrotów.

Doczekał się wreszcie swej żony. Usiadł przy niej, wpatrywał się w nią czule, a potem zaśpiewał tak pięknie i tak radośnie, jak kiedyś pewnemu panu przed oknem oberży.

J. Sann.



Pieszczoszek

mal. W. Wodzinowski

Nie pieścić lecz wychowywać!

Gdy matka raz czegoś zabroni, powinno to być stale zakazywane. Dzieci bywają bardzo bystre: z miny, z zachowania się matki odgadują, na co pozwolić sobie mogą — a na co zezwolenia od niej nie uzyskają. Ustępliwość słabej matki wyrządza moralną krzywdę dziecku. Unikać też należy błędu, popełnianego przez niektóre matki ,aby tłumaczyć dzieciom, dlaczego tego lub innego żąda się od nich, a znowu innej rzeczy im się zabrania. Matki, podobnie postępujące, same odczuwały następnie wadliwość takiego systemu.

Dziecko nie powinno za każdym razem pytać, dlaczego to, lub owo ma spełnić, a czego mu nie wolno? Co innego, gdy rozkaz starszych zostanie spełniony, — można nieraz 6 lub 7-letniemu dziecku wytłumaczyć powody zakazu, lecz na razie należy zawsze być stanowczym.

Dziecko od wczesnego dzieciństwa powinno przyswoić sobie dwie wskazówki postępowania: muszę i powinienem. To ustala prawidłowe myślenie, wyrabia dobre przyzwyczajenia i pozostaje już, jako stały, dodatni nabytek ułatwiający życie.

Matka, względnie wychowawcy — powinni stanowczo wykluczyć z postępowania z dzieckiem te zdawkowe, wygodne teoryjki: „Ono " (to jest dziecko) tego jeszcze nie rozumie", lub „To mu jeszcze nie zaszkodzi", „Ono o tym zapomni". Podobne rozumowania są wygodne; ale jest to, niestety folgowanie własnemu lenistwu!

W zwalczaniu u dziecka opieszałości w ruchach, tak zwanego marudztwa, ociężałości — należy najpierw zbadać, czy to nie jest skutek jakiegoś niedomagania, a upewniwszy się, że dziecina jest zdrowa ,należy wytrwale zwalczać to usposobienie, jak również inne narowy, które nieraz dziecko przejmuje bezwiednie niemal od swych rówieśników. Należy od tych nałogów leczyć dzieci, jak od choroby, nie ustając w stosowaniu odpowiednich zabiegów. Na przykład przez kilka tygodni pilnować trzeba stale marudne, leniwe dziecko, aż się oduczy guzdralstwa, wdrażając się pod czujnym, lecz łagodnym dozorem do żwawszego, prędszego poruszania się. Nie pozwalać w tym na żadne folgi, odstępstwa od reguły, gdyż to chorobę przewleka i przeszkadza w jej całkowitym uleczeniu.

Niech się dzieci myją na wyścigi, bacząc by to robiły porządnie — lecz żwawo. Oznaczyć czas: Tego można dokonać w 5 minut, na to potrzeba 10 minut. — Czy dziecko wdroży się do tych czynności, załatwianych bez marudztwa, nabędzie stałych przyzwyczajeń, które, jako cenny nabytek, przyczynią się w pewnej mierze do ukształtowania charakteru człowieka. Bardzo ważnym jest nauczenie dziecka, by zawsze zamykało drzwi za sobą, a czyniło to sprawnie, nie robiąc hałasu. — Powinno się przyzwyczajać dzieci do nie rozpierania się przy stole, do grzecznego ustępowania z drogi, do wsiadania do autobusu bez popychania, szturchania; uczyć uprzejmości w obcowaniu z rówieśnikami i ze wszystkimi w ogóle. Można na przykład, zwrócić jego uwagę, jak zachowanie się innych dzieci, którym zabrakło dobrych wskazówek, — razi i sprawia niemiłe wrażenie na otoczeniu. Dziecko wówczas świadomie zacznie solidaryzować się z tym, co dobre i pożyteczne.

W życiu naszym razi czasem brak wytrwałości, zamiłowania ładu i systematyczności. „Szkoda czasu"! to zasada osób, wiecznie się śpieszących — a pozostawiających poza sobą nieład i inne braki. Nauka o pięknie, którą się szerzy jest wprost śmieszna — skoro, jak to bywa nieraz — w pięknym flakonie stoją kwiaty na środku stołu, zawalonego niesprzątniętymi rupieciami, w pokoju, w którym na każdym kroku spotyka się chaotyczny nieład. Z podobnego środowiska wychodzą chłopcy, niezdolni do uprzątnięcia pokoju po sobie; nie wdrożeni do żadnego zabiegu wprowadzającego ład i symetrię. Znane są, z powieści i z życia te lokale studenckie, gdzie na stole — obok cyrkli, map, książek — znajdują się niedopałki papierosów, grzebienie i szczotki, pudełka z szuwaksem, a pomiędzy tym wszystkim również chleb z masłem i inne domieszki. Zamieszkująca tak urządzony lokal — młodzież — nasuwa przypuszczenie, że nie miała ona wpojonych od dzieciństwa zasad ładu i systematyczności.

Nie można dzieci puszczać przez życie samopas. Nie można pieścić, lecz wychowywać.

K. O.

---

przyjechać. Tu przyjechać — rzekł, akcentując słowo: tu.

— Mąż chorował od tego czasu. Okropne te przeżycia sprowadziły jego rychłą śmierć.

— Kiedy zmarł?

— Dziś będą dwa lata. Zmarł w ogrodzie — wśród malw.

— Proszę mi pokazać to miejsce.

— Chodźmy. — Pani Regina machinalnie prowadziła owego człowieka złego. Nie doszli jednak do tego miejsca, gdyż stała się rzecz, to co było przewidziane, przeznaczone jemu, to co miało się wypełnić. Rafski potknął się nagle i upadł głową uderzając o głaz leżący jako ozdoba między jednym cyprysem letnim, a drugim. Scenę tę obserwował sędzia Żemski, który akurat przechodził obok domku Borczańskiej. Na okrzyk pani Reginy wszedł do ogrodu. Oboje stali teraz nad zwłokami człowieka, którego spotkała zasłużona kara. Musiało się to wypełnić, co miało. Śmierć za śmierć.

— Co za wypadek! — szepnął Żemski.

— To musiało się tak stać — odszepnęła. — Justyna słowa sprawdziły się.

* * *

II.

Od tego wieczoru upłynęły dwa dni. Pani Regina Borczańska siedziała w oświetlonym silną żarówką pokoju i szyła. Oderwała się na chwilę od swej pracy, bowiem zegar wydzwaniał godzinę w pół do dziewiątą. Spojrzała w stronę stojącego w kącie zegara. Westchnęła.

— Tak. Justynie — szepnęła. — Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Adam Poźniacki.

UŚWIADOMIENIE MARYJKI
(Szkic z życia)

Maryjka obudziła się uszczęśliwiona: dostała braciszka! Do mamy jej jeszcze iść nie wolno, bo mama jest zmęczona i śpi, ale wolno jej zobaczyć braciszka. Gruba pani w okolistym fartuchu kładzie właśnie do kąpieli taką małą, śmieszną laleczkę. Maryjka bardzo prosi, by wolno jej było stać i patrzeć chociaż z daleka. Biedny! musiał bardzo zziębnąć w wodach wielkiego jeziora, — a może za oknem, — bo cały jest taki czerwony, że aż siny!

Maryjka rada by raz jeszcze usłyszeć historię o bocianie i wielkiej wodzie, pyta więc nieśmiało owej obcej pani: — A jak to było, jak się braciszek urodził?

— Ha! Ha! — śmieje się trochę za głośno obca pani, pokazując złote zęby. — Bozia go z nieba spuściła na sznurku; zastukał w okienko nóżką, odcięłam sznurek i odebrałam go. Ładny, co? — Nie bardzo... — wyznaje szczerze dziewczynka i pyta: — To go nie przyniósł bocian?...

— Ach, nie! to dawniej bocian dzieci nosił, teraz Bozia spuszcza na sznurku. — Maryjka milczy, wpatrzona w braciszka, a potem cicho wysuwa się do kuchni. Franciszka nie wyspana, ziewająca, pilnuje mleka; kawa pachnie, leżą bułeczki, pięknie ułożone; przyjemnie jest... Maryjka opiera się o

kolana Franciszki i pyta. — Moja Franciszko ,niech mi też Franciszka powie prawdę, jak się to dzieci rodzą? — No, jakaś pani przynosi je w tej wielkiej czarnej torbie i już. — A skąd się biorą w torbie? — W sklepie się kupuje: wybiera się chłopca, albo dziewczynkę, pani ją przynosi i po wszystkiemu. Błękitne oczy Maryjki rozwierają się w wielkim zdziwieniu, ale w ich głębi czai się błysk niedowierzania, a w mózgu przesuwa się myśl: dlaczego ci starsi kłamią?... Bo przecież ktoś z tych trzech musiał skłamać...

— — — — — — — —

— Mamusiu... — Co, dziecinko?... Mamusia ma jeszcze taki słaby głos i takie oczy dziwne, zmęczone, a radosne; a Maryjka jest taka szczęśliwa, że wolno jej siedzieć obok łóżka mamusi. — Moja mamusiu, mam ci się o coś zapytać. — Mów, ty przecież wiesz, że mamusia chętnie odpowiada na wszystkie pytania swojej dziewczynki. — Moja mamusiu, jak to właściwie było z tym urodzeniem Julka?

— Jakto, jak? — Bo tatuś powiedział: — Bozia ci daje braciszka. Niania mówiła, że go bocian przyniósł z nad wielkiego jeziora, a ciebie uszczypał w nogę i dlatego tak strasznie krzyknęłaś; myślałam, że prawda, bo taki był Juluś siny; ale zapytałam tej pani, a ona mi powiedziała, że Bozia spuściła braciszka z nieba na sznurku. — Co też ty wygadujesz, Maryjko! Ale może i to nieprawda, bo poszłam do kuchni i zapytałam Franciszki, a ona mi powiedziała, że dzieci sprzedają w sklepie, a pani roznosi je w tej swojej czarnej torbie! I teraz to już naprawdę nie wiem, komu wierzyć... mamusiu... U rzes zawisły jej łzy.... Młoda matka milczała chwilę, przytuliła dziewczynkę, wreszcie szepnęła: — Czy słyszysz ,jak tam w mamusi serduszko bije? — Słysze, mamusiu: tak jak w zegarku: — tik-tak, tik-tak.... — Otóż widzisz: pod tym serduszkiem, co tam w piersiach bije miłowaniem Boga, tatusia i ciebie, nosiła mamusia swoją dziecinkę przez długie dziewięć miesięcy, bo żadne dziecko nie jest od razu zdolne do życia. Jest z początku takie maluśkie, — nie umiałoby ani jeść, ani oddychać. — Bóg tedy sprawił, że mamusia jest dla niego taka osłoną, jak paczek dla kwiatu. Podaj mi ten paczek róży, co jest w bukiecie, który tatuś przyniósł. Tak. A teraz zobacz, rozchylamy zielone listeczki: śpi tam kwiatek i dąży do rozwoju. Z początku jest to tylko malutka kuleczka zielonawych listeczków: roślina żywi je swoimi sokami; listeczki rosną powoli; o, spójrz, w tym drugim paczku już nabrały barwy i widać, że kwiatek będzie ponsowy: aż wreszcie jednego dnia roślinka listeczki rozchyli i urodzi się kwiatek. I tak samo, jak ta roślina, mamusia chroni sobą, żywi i nosi swoje dziecię, aż przyjdzie godzina, gdy jest już zdolne do życia. Już potrafi nauczyć się oddechu; jedzenia, i wtedy Bóg sprawia, że dziecię przychodzi na świat: tak przyszłaś na świat ty, Maryjko, tak przyszedł na świat Juleczek, i tak przychodzą wszystkie ludzkie dzieci. Pamiętaj, dziecino, gdy czegoś wiedzieć nie będziesz, zawsze zapytaj mamusi lub tatusia, bo oni powiedzą ci prawdę. Dobrze, dziecino? — Dobrze, mamusiu...

— A dlaczego tak krzyknęłaś, mamusiu?

— Bo mamusia cierpi, gdy dziecina się rodzi, — tak dał Bóg, może dlatego, byśmy, cierpiąc dla was, kochali was więcej, a wy nas. — Ja cię bardzo kocham, mamusiu, — zapewnia Maryjka, przytulając nagle usteczka do białych, smukłych rąk mamusi, — bo ty jesteś zawsze z nami, mamusiu. A na bladej, zmęczonej jeszcze bardzo twarzy mamusi rozkwita słoneczny uśmiech.

(M.)

Tępienie chwastów

Niemałą plagą na naszych polach uprawnych są chwasty, które wraz z roślinami uprawnymi walczą o pokarmy z ziemi, o światło i wodę. Walka ta jest najsilniejsza z wiosną, gdy tak rośliny uprawne jak i chwasty poczynają się rozwijać. W interesie więc rolników leży zawczasu zaradzić złemu i bronić swych pól przed zachwaszczeniem. W roślinach zbożowych zwalczać można ognichę i łopuchę przez opylanie o rosie kainitem pylastym w ilości 600—1000 kg na ha, gdy ognicha ma 2—3 listki. Kaniankę w koniczynie można zwalczać przez skoszenie i zniszczenie skoszonych roślin a po tym obfite opryskiwanie tych miejsc silnym strumieniem 10—15% roztworu siarczanu żelaznego lub posypanie azotniakiem.

Malwa jako roślina pastewna

Jedną z najnowszych i bardzo wydajnych pasz zielonych okazała się malwa pastewna. Jest to roślina bogata w białko i tłuszcz, dająca rocznie trzy pokosy zielonej karmy. Specjalnych wymagań glebowych nie żąda. Udaje się na wszystkich gruntach a najlepiej czuje się na piaskach i torfowiskach.

Malwa hodowana może być jako roślina główna ,jako przedplon, jako międzyplon lub poplon. Sama roślina jest jednoroczna, wytrzymała na mróz do 6 stopni. Czas wysiewu, to okres od połowy kwietnia do sierpnia. Na gruntach lżejszych, w okolicach o wczesnej wiośnie czas wysiewu przypada w połowie kwietnia, na gruntach cięższych — w połowie maja a na gruntach wilgotnych i torfiastych — na początku czerwca.

Do hodowli malwy przygotowuje się ziemię jak przy uprawie buraków. Na jeden ha wysiewa się 4—5 kg nasienia. Odstępy rzędów 45—50 cm. Nasiona przykrywa się ziemią płytko na 1.5 cm.

Sprzęt malwy odbywa się gdy roślina osiągnie wysokość około 130 cm. Przy koszeniu zostawia się ściernisko na 10 cm wysokie. Po kośbie okopowuje się pozostawione roślinki względnie bronuje je, po czym zasila się pole gnojówka lub nawozami pomocniczymi w postaci supertomasyny i kainitu. Zasilone rośliny poczną prędko wzrastać i wkrótce wydadzą drugi pokos. Pierwszy i drugi pokos malwy zużyć można na paszę zieloną lub ziarno a trzeci pokos na kiszonkę. Po trzecim pokosie puścić można jeszcze bydło na ściernisko.

Jak już wyżej zaznaczyłem, nasiona malwy wysiewać można jako międzyplon lub poplon. Malwa wysiana np. w sierpniu wyda pierwszy pokos w połowie października.

Przy spasaniu bydła malwa nie można jednak stosować wyłącznie tej paszy, gdyż ta posiada wysoką zawartość białka i bydło mogłoby się nią przekarmić a później zniechęcić się do tej paszy. Dzienna dawka malwy zielonej nie powinna przekraczać 50 kg na sztukę. Siana zadawać początkowo 4 kg i stopniowo podwyższać dawkę do 10 kg. Najlepiej zadawać malwę razem z innymi paszami. Według twierdzeń rolników karmiących swój inwentarz malwą, pasza ta wpływa na większą wydajność mleka i znaczny nie tylko jako pokarm dla krów lecz wzrost zawartości tłuszczu. Nadaje się również dla koni, owiec i tuczu świń.

Ehor.

Ptasi zegar

Była jasna, wiosenna noc.

Leżeliśmy w dużym, starym lesie na czatach. Reszta kompanii spała w pobliskiej wsi; tu czuwał jeden pluton. Rozsypany po krzakach, wyciągnięty na miękkim mchu, czujny, uważny, z bagnetami na karabinach u boku. Bo każdej chwili mogą nas podejść, zaskoczyć. Trzeba czuwać, by tamci we wsi mogli spać spokojnie i pokrzepić się przed jutrzejszą bitwą.

Do lasu powoli wdziera się biały świt.

Wstający dzień mocuje się z nocą.

W pobliskiej wsi zegar na wieży kościelnej bije drugą godzinę.

Nagle nad naszymi głowami rozlega się jakiś srebrzysty, nieśmiały dźwięk. Patrzymy w górę... ptaszek. Widać go wyraźnie. Ma rdzawy mundurek i granatową krajkę na szyjce, niby otok na czapeczce. Poznaję ptaka. Zięba, ten cudowny „śpiewak Boży", na którego przepięknych trelach wielu ludzi na Zachodzie majątki zarabia. To ten najczujniejszy wartownik skrzydlatej armii, który teraz już, o drugiej zrywa się ze snu i urządza powszechną pobudkę. Skacze z gałęzi na gałąź, zagląda tam i tu i wreszcie woła, jak na nas pan kapral w koszarach:

— Pobudka, wstać! Dzień już idzie w pełnym świcie, a wy, lenie, furt tu śpicie! Pobudka, wstać!

Woła oczywiście w swojej ptasiej mowie, mianowicie tak:

Pink-pink-jup—ciciciwitju.

I tuż z drugiego drzewa słychać niby tony klarnetu brzmiące: „tak-tak-tak— taaak—tek".

To czarno-szara piegża daje znać, że wstaje i zaraz zacznie swój ranny koncert.

Trochę później, około pół do trzeciej, rozlega się za lasem delikatny śpiew przepiórki, tej znanej wszystkim przepiórki, która uważają za wzór miłości macierzyńskiej w świecie ptasim.

I zaczął się koncert, którego nikt z nas nigdy nie zapomni. Co pewien czas powiększał się chór o nowego śpiewaka i znowu malał. Bo kiedy jedne zaczynały, drugie już kończyły. I tak śpiewały po kolei:

od drugiej — zięby
od 2 —2½ piegże

Niepokalane Serce Maryi

Dlaczego czcimy serce? Dlatego, że serce już samo w sobie zasługuje na wyróżnienie: jest motorem życia, nigdy nie przerywa swojej działalności, jest najpracowitsze ze wszystkich narządów ludzkiego organizmu i bierze udział w najmniejszych nawet przeżyciach tak duszy, jak ciała.

Serce Maryi zasługuje na szczególną cześć, gdyż wśród serc ukształtowanych przez Opatrzność jest po Sercu Jezusowym najdoskonalsze. Co więcej, jest ono symbolem miłości, jaką Najświętsza Maryja Panna pałała ku Bogu i ludziom.

Bóg tak chce! Papież Pius XII nakazał całemu Kościołowi szukać w Sercu Maryi ratunku i pomocy. A rozkaz Namiestnika Chrystusowego jest dla nas katolików wyrazem Woli Bożej. Bóg chce, byśmy czcili i miłowali Serce Maryi!

Bóg sam złączył Serce Maryi z Sercem Jezusa:

1. Maryja dała nam Serce Jezusowe. Tęsknota Jej Serca za Mesjaszem bez wątpienia przyśpieszyła chwilę Jego przyjścia na ziemię. A kiedy zgodziła się być Matką Zbawiciela, Serce Jezusowe zostało ukształtowane z Jej ciała i Jej krwi. Ona karmiła Je mlekiem swych dziewiczych piersi. Zaiste, błogosławione wnętrzności, które nosiły Zbawiciela i błogosławione piersi, które Go karmiły!

2. Maryja współżyła z Sercem Jezusowym. Przebywając w łonie swej Matki, Jezus napełniał Jej Serce płomieniami miłości. Ona kształtowała Serce Jezusa, i nawzajem Serce Jezusowe rozpalało miłością Serce Matki. Przez dziewięć miesięcy między tymi dwoma Sercami odbywała się ciągła wymiana myśli i uczuć. A potem przyszedł pobyt w Betlejem i ucieczka do Egiptu. Maryja tuliła wtedy Serce Syna do swego Serca i nigdy się z Nim nie rozstawała.. Przeżywała wszystkie Jego bóle i smutki, cieszyła się Jego radościami... I tak było przez lat 33..

3. Na krzyżu Konające Serce Jezusa dało nam Maryję za Matkę. Wówczas wydał Jezus dekret, że droga do Jego Serca będzie prowadziła przez Serce Matki!

Tak chce Maryja! Wręczając św. Katarzynie Labouré „cudowny" medalik, Maryja zażądała, żeby obok Serca Jezusowego przebitego włócznią i cierniem ukoronowanego umieszczono Jej Serce mieczem boleści przeszyte.

Objawiając się w Fatima, Maryja znów wyraźnie zażądała czci dla swego Niepokalanego Serca.

Serce Matki. Serce Maryi jest tak złączone z Sercem Jezusowym, że gdy ma się wstęp do jednego, to ma się tym samym wstęp do drugiego z tą tylko różnicą, że do Serca Jezusowego garną się przede wszystkim dusze czyste, a w Sercu Maryi szukają ratunku dusze grzeszne, które czują lęk przed Sercem Jezusowym.

Serce Maryi tuli do siebie każdą duszę, choćby najbardziej splamioną grzechami. Wszak to Serce Matki. Ucieczki grzeszników, Pocieszycielki strapionych. Ono oczyści każde serce. choćby najbardziej splamione, i uczyni je godnym Serca Jezusowego.

Przymioty serca Maryi. Serce Maryi jest przeczyste, wolne od grzechu i od wszelkiego przywiązania do grzechu. Nawet pokusy nie mają do niego przystępu.

Jest to Serce niepokalane — od pierwszej chwili istnienia bijące najgorętszą miłością ku Bogu i miłosierne — współczujące z naszą nędzą i zawsze gotowe śpieszyć nam z ratunkiem. Maryja pomaga nam i wtedy gdy Jej o to nawet nie prosimy, bo

to Serce dobroć sama,
najczulsze z córek Adama.

Św. Jan Vianney nazywał je źródłem łask i mawiał: „Tyle już z tego źródła zaczerpnąłem, że nicby w nim nie zostało, gdyby wogóle mogło być wyczerpane".

Jak czcić Serce Maryi?

1. Poświęcić się Maryi zupełnie, czyli oddać się Jej na własność, a jak Ojciec św. dokładniej tłumaczy na czym polega poświęcenie Sercu Maryi, które nakazał całemu Kościołowi: „uzgodnić swoje życie z życiem Jej Serca".

2. Zaufać Sercu Maryi i często wzywać Je na pomoc: „Słodkie Serce Maryi, bądź moim zbawieniem"! Odmówić codzień bodaj jedną tajemnicę Różańca, czyli Ojcze Nasz, 10 Zdrowaś i Chwała Ojcu, a na zakończenie modlitewkę, którą Maryja w Fatima poleciła dodawać po każdym dziesiątku Różańca:

„O mój Jezu, odpuść nam nasze winy, broń od ognia piekielnego i doprowadź do nieba wszystkie dusze, szczególnie te, które najwięcej potrzebują Twego miłosierdzia".

3. Okazywać bliźnim miłosierdzie, współczuć z ich troskami, pomagać im czynem i modlitwą, pocieszać dobrym słowem.

4. Nosić medalik Maryi na znak oddania się Jej na własność.

---

od 2½—3 przepiórki
od 3 —3½ pliszka rudoogona
od 3½—4 kosy i drozdy
od 4½—5 sikorki
i w końcu
od 5 —5½ wróble.

Zadziwiająca była punktualność, z którą poszczególne ptaki swe koncerty zaczynały i kończyły. Jeden z kolegów, który o ptakach dużo czytał, opowiadał nam później, że właśnie świat ptasi odznacza się taką zagadkową wprost dokładnością. Spóźnień lub jakich przesunięć czasu śpiewania nie ma. I właśnie ten ranny śpiew jest najsilniejszy, najczystszy i najpiękniejszy. Powietrze jest czyste i świeże, a krtanie wypoczęte. Później głosy brzmią już słabiej i odzywają się rzadziej. Żołądek ma przecież też swoje prawa.

Gdy wreszcie wyszło zza horyzontu wytęsknione przez nas słońce, było już po koncercie.

Cisza zalegla las. Godziny ptaków minęły.

Ale po jakimś czasie znowu zabrzmiała muzyka. Inna, nowa, ale równie piękna, jak tamta. Odezwały się śpiochy, które nie dbają o godziny i budzą się oraz śpiewają, kiedy chcą.

Zakukała więc ukryta w gąszczu liści kukułka i przypomniała nam, że trzeba w tym czasie potrząsnąć „na szczęście" naszymi sakiewkami, bo może resztki żołdu potroją się, potem wilga dała znać o sobie, po niej trznadel, skowronek, spadający niby kamień rzucony na pole, mysikrólik, jaskółka, czyżyk i wszystkie inne, które znamy i których nie znamy.

Nie usłyszeliśmy dnia tego jedynie słowika! Nasz kolega fachowiec, który jak się okazało, rzeczywiście dużo naczytał się o ptakach, wytłumaczył nam później, że słowik zamieszkuje nie każdy lasek. Ptak ten bardzo wybredny w wyborze swego stanowiska potrafi latami całymi unikać pewnych okolic. Gdzie zaś ten z łaski Bożej śpiewak się zjawi, daje występy zawsze jako solista, nigdy nie miesza się do koncertów swej ptasiej braci! Za to, gdy uczucie wzbierze w jego małym serduszku, potrafi gardziołko otworzyć i pieśń miłości zanucić nawet o północy.

Leżymy w lesie na czatach. Reszta kompanii śpi jeszcze we wsi. Nie zazdrościmy jednak, bo i nam tu dobrze. Leżymy wprawdzie na zimnym, wilgotnym mchu, lecz promienieją nam twarze i jesteśmy bardzo zadowoleni. Wszak ptaki śpiewają dla nas tak pięknie, dla nas i dla wszystkich ludzi...

E. Wilk

OFIARA

Krzyż, ten wielki kształt Człowieka, który wszystko ogarnia i wszystko składa w ofierze, już się wypełnił żywą linią ludzkiego ciała. Za każdym wstrząsem dygotał męką rozpiętych na nim członków i był coraz cieplejszy od ciepła krwi po nim spływającej, był już nią zbroczony i przesiąknięty. Dygotał rozkrzyżowanymi ramionami, które się otwarły jak do uścisku szerokiego i nieskończonego. Dygotał pod tymi ramionami, które ludzie rozdarli gwoździami, gdyż już więcej objąć nie mogły. Dygotał pod karkiem, rozpalonym gorączką, skłutym cierniami, mokrym od potu, bolącym nieznośnie. Dygotał pod plecami, które doń przywierały w ciężkim oddechu życia, uchodzącego wraz z krwią, płynącą z okropnych ran. Dygotał krzyż syty życia Jezusowego, które na nim dogasało, stawał się niejako uczestnikiem tego życia, które miało się stać wyrazem najwyższej boskiej ofiary, skoro po złożeniu swego niebiańskiego ciężaru wypadło mu wobec przyszłych pokoleń dawać świadectwo śmierci i chwały Syna Bożego. Konanie było długie i ciężkie, nie do zniesienia. Jezus skierował do Ojca modlitwę: „Odpuść im, bo nie wiedzą co czynią". Jego wzrok błądził po widnokręgu, wybiegał ku miastu, ku miejscom, gdzie się pełniło Jego posłannictwo, gdzie niósł zapowiedź swego Królestwa. Jednak konanie było długie, ciężkie, nie do zniesienia. Panie! czemuś mnie opuścił? Od szczytu Golgoty niósł się zmieszany szmer głosów, a On był sam, już oderwany od ziemi i wywyższony ku niebu na twardym tronie krzyża. Jednak konanie było długie, ciężkie, nie do zniesienia. Wreszcie pierś Jezusa wzdęła się ostatnim oddechem, a na Jego obliczu, wpatrzonym już w wieczność, zajaśniał blask osiągniętego celu, spełnionej woli Ojca. Jezus wracał do Ojca, który jest w niebiesiech. Do Ojca, który go zesłał na ziemię, aby objawił chwałę Boga, aby się ukrył w łonie Dziewicy, by dzielił ubóstwo pokornych i prostotę wybranych. Wracał do Ojca, gdyż spełnił Jego polecenie i ziścił swe posłannictwo. Wykonało się wszystko, gdyż wszystko poświęcił, a hasło: „fiat voluntas tua" wycisnęło pieczęć na tej ostatniej próbie krzyżo-

W pocie czoła

In sudore vultus; znam dobrze pot, który sprowadza zmęczenie, a nawet udrękę. A tymczasem mógłby on, nie gorzej niż popiół wielkopostny, uzmysłowić mi mój stan piechura i posłużyć do ofiar. Ty sam, Panie, zaznałeś udręki tego okropnego potu, który zalewał Ci oblicze podczas nocy w ogrodzie Oliwnym. Za zrządzeniem Bożym pot domieszał do naszego twardego rzemiosła człowieka. Panie, Ty musisz mieć specjalną litość i szczególną czułość dla chorych, trawionych potem gorączki i dla tych wszystkich pracowników, którzy ocierają rękawem swe ociekające potem czoła. Znałeś to wszystko, Pasterz zmęczonych tłumów, któryś nimi w niczym nie pogardzał. Czy nie mógłbym w pokorze swych ofiar przedstawić Ci, jako najemnik czy posłaniec, hołdu moich znojów? Nie widzisz nic w tym śmiesznego, wszak pot jest tak nieodstępny od mej ludzkiej natury. I dla Ciebie, w służbie, Twego Kościoła, pot zrasza codziennie miliony pokornych czół. Czysta myśl nie zna tych nędznych rzeczy, lecz Ty już nas takimi uczyniłeś, że kiedy słońce grzeje, kiedy wspinamy się ku górze, czy dźwigamy ciężary, albo czy popadamy w omdlenie, lub gdy zaskoczy nas groza niebezpieczeństwa, to nie obracamy się w sferze czystej myśli, lecz zraszają nas bez litości krople potu. Jest może najtrudniejszą cnotą pogodzić się z tym, że jesteśmy tacy, jak jesteśmy i wyrzec się wszelkich łudzących fikcji, wszystkich fałszywych ozdób i peruk. Wydaje się, że naszą pierwszą troską bywa zawsze zrzucanie winy na dzieło boże i usiłowanie beznadziejnej ucieczki przed własną naturą. Ale pokój nie mieści się w złudzeniach. Jest on zawsze szczerą zgodą z rzeczywistością. Na widok wszystkich skromnych twarzy zwilżonych potem — twarzy dzieci czy dorosłych, czarnych lub białych, pracujących czy konających — chciałbym zawsze przypomnieć sobie Twoje święte boskie Oblicze i chustę św. Weroniki.

Tylu jest ludzi, Panie, którzy nigdy nie mieli na ziemi wolnego czasu na czytanie lub naukę, którzy nie mogli nigdy usiąść w cieniu dla rozważania dialogów Platona, bo zawsze ścigają ich naglące potrzeby codziennego życia. W ich tłumie chcę się zagubić, w tym tłumie Twoich istot znaczonych potem mozołu: Pochyleni nad piecami zwykłej kuchni czy fabryk, wiosłujący na łodziach w słonecznym upale lub oliwiący maszyny w halach o duszącym żarze, dźwigający cegły czy popychający pług, z tornistrem na plecach podczas wojskowych marszów albo ciągnących na linie ciężkie, leniwie wlokące się tratwy — znojny pot na ich skórze białej, czarnej czy brązowej nadaje im jakieś piętno szlachectwa, a Ty jesteś miłosierny dla tych, którzy się trudzą.

In sudore vultus. — I ja nie mam Ci nic lepszego do ofiarowania.

Ten pot wypowie Ci moją słabość i moje wysiłki. Stanie się wyrazem szczerej prawdy, w stopniu bez porównania wyższym niż liczne rozprawy.

P. Charles.

Obrońcy skarbów

Mrongowius w przedmowie do „Dokładnego słownika polsko-niemieckiego", wydanego w 1835 roku, opisał jakich wrażeń doznawał, na dźwięk języka polskiego: „Okrzyk: Bój się Boga! — działał jak grom elektryczny na duszę Polaka. Słyszał bowiem z ust matek i niewiast polskich, gdy w powstałych sprzeczkach gniewem i wściekłości pałających mężczyzn okrzykiem: zmiłuj się bój Boga! ostrzegały przed nieszczęściem, budząc ich okrzykiem tym do przytomności. Mnię, który sposobność miałem — pisze dalej Mrongowius — dźwięki te słyszeć w młodości wśród tak zwanych Mazurów, przechodzi dreszcz na samo wspomnienie... Są to owe melodyjne, do serca przemawiające dźwięki, głęboko do duszy się wdzierające, wspólne Polakowi, jako też Czechowi i Rosjaninowi i wszystkim narodom słowiańskim".

Historia Górnego Śląska, zna też ofiarnych działaczy, budzących w ludzie tamtejszym świadomość narodową. Wielokrotnie też opisywane były cierpienia chłopa i robotnika śląskiego, którzy za swoją wierność polskości, byli gnębieni i pozbawiani pracy lub odsiadywali kary w więzieniach. Szczytem tej walki o polski pacierz w szkole, jest chyba najgłośniejsze swego czasu miasteczko Września, bo tam do walki z pruską potęgą, stanęły dzieci szkolne.

O mowę polską i nauczanie dzieci religii w macierzystym języku, dopominało się i polskie środowisko w Berlinie, na wiele lat przed pierwszą wojną światową. Wybitnym jego reprezentantem był wówczas znany szeroko mistrz krawiecki Władysław Berkan, autor książki pt. „Ksiądz patron Wawrzyniak w moich wspomnieniach". Opisuje on w swoim „Życiorysie własnym", także drukiem wydanym, zajście o język polski w Kościele św. Pawła na Moabicie (część miasta Berlina), które stało się nawet przedmiotem obrad sejmu pruskiego.

Do przypomnianych tutaj faktów, przybywają dziś nowe, odczytywane w archiwach Ziem Odzyskanych. Oto w „Przeglądzie Zachodnim" (lipiec—sierpień) 1950 r. Bronisława Samitowska pisze o chłopie spod Wrocławia, jako obrońcy języka polskiego. Był nim Jerzy Treska, który na wiadomość o likwidacji nabożeństw polskich, rozpoczął wędrówkę od wsi do wsi, na skutek czego w dniu święta Wielkiej Nocy 1826 roku, Polacy oczekujący na nabożeństwo, odbyli naradę na podwórzu kościelnym, domagając się jednomyślnie utrzymania języka polskiego w nabożeństwach. Petycję taką w imieniu ludności polskiej, miał wnieść właśnie Jerzy Treska. Podjąwszy się tego trudnego zadania, udał się do wójta Blachy z Wojnowic, który mu doradził, aby poszedł do nauczyciela w Laskowicach. Ten jednakże dowiedziawszy się o treści petycji, uchylił się od jej napisania. Wówczas Blacha umożliwił Tresce wyjazd do Wrocławia, gdzie tenże zatrzymał się w gospodzie „Pod polskim Panem Bogiem". Właściciel gospody dał Tresce kilka adresów do swoich znajomych z których niejaki Pleban, mieszkający przy Kocim Zaulku na III piętrze, napisał podanie, a Treska je złożył w urzędzie prowincji.

W miesiąc później t. j. 24.IV.1826 r. Landrat (urzędnik równy naszemu staroście), zawezwał Treskę na przesłuchanie. W protokóle podpisanym przez Treskę, czytamy jego oświadczenie:

„Moim ojczystym językiem jest język polski i choć znam język niemiecki jak większość tutejszych Polaków, słowo Boże w języku polskim jest dla nas bardziej zrozumiałe i bliskie."

Landrat odesławszy urzędowi prowincji protokół, radził ukarać Treskę i Plebana, a w stosunku do ogółu ludności iść na ustępstwa, bo jak twierdził:

„Polacy są bardzo wzburzeni i nie wiadomo czy w przeciwnym razie uda się ich uspokoić."

„Sprawa Treski nie jest czymś wyjątkowym" — pisze Br. Samitowska w „Przeglądzie Zachodnim". Rząd pruski mógł się istotnie obawiać Polaków. Żyli oni w warunkach więcej niż opłakanych, o czym piszą sami Niemcy. W jednym z dokumentów miasta Wałbrzycha, który w roku 1844 napisał asesor rządowy Schner, czytamy:

„Ludność Wałbrzycha żyje w daleko gorszych warunkach, niż przestępcy w więzieniu. Nieszczęśliwi ci ludzie nie stali się jeszcze zbrodniarzami tylko dzięki temu, iż długoletnia nędza osłabiła ich fizycznie i umysłowo tak, że nie posiadają potrzebnej energii do popełnienia zbrodni".

Br. Samitowska stwierdza w dalszym ciągu swoich wywodów, że w pozostałych aktach innych parafii, często spotyka się podobne protesty w sprawach języka wnoszonych przez ludność Dolnego Śląska.

Na jednej z nauk rekolekcyjnych, wygłaszanych dla młodzieży akademickiej przez księdza Dr Ferdynanda Machaya, słyszałem jak kaznodzieja zwrócił uwagę na grzechy przeciw językowi polskiemu. Jakżesz ta uwaga była na czasie! Toć przecież włosy na głowie stają, jak my Polacy naszą piękną mowę kalamy najobrzydliwszymi wyrazami. Jakże przeraźliwym zgrzytem obijają się o nasze uszy bezecne słowa, słyszane często przy pracy, na ulicach, w tramwajach, autobusach i wagonach kolejowych, żeby już nie wspominać o rozmowach pijaków, od których to zdań uszy puchną.

Czytałem kiedyś bajkę o wiecu zwołanym przez zwierzęta, w czasie którego uskarżały się na nas i czyniły sąd nad nami, nadużywającymi tego najcudowniejszego daru bożego, jakim jest mowa.

Oto jak pies się skarżył: Z krwi naszej klątwę sobie zrobili, a gdyby nas w wierności i przywiązaniu naśladowali,

---

wej, którą zgotowali Mu ludzie. Powracał Syn do Ojca oddając ostatnie swe tchnienie: „W ręce Twoje, Panie", a w chwili zgonu otwierały się już przed Nim podwoje niebieskie. Tymczasem z opuszczonej ziemi wyrósł las rąk wyciągniętych do Krzyża, w błaganiu pokornym, w krzyku ust zgłodniałych, w szamotaniu rozbitków. Były to ręce przyszłych pokoleń, całej ludzkości żebrzącej zbawienia: były ręce dzieci, dźwigniętych ramion matek, tam w górę, do krzyża, by spłynęło na nie krzyżmo krwi oczyszczającej; były ręce całej ludzkości, prężące się ku niebu, z którego spływała wiekuista łaska, prężące się ku ranom Tego, który jeszcze po śmierci nie przestawał darzyć Życiem.

napewno nie byłoby między nimi tak źle, jak jest obecnie".

A wilk znów tak się żalił:

„Utworzyli sobie z nas brzydkie przysłowie, że człowiek człowiekowi jest wilkiem. To jest niesłuszne. Bo gdyby wilk wilkowi był człowiekiem, to byśmy dawno na świecie nie istnieli. Wilk wilka nie morduje, a ludzie jak okrutnie się mordują, jakie narzędzia do mordu wymyślają. Czy nie są gorsi od wilków?"

Wyciągnijmy z tej bajki odpowiednie wnioski. Każdy komu przyjdzie na myśl przekleństwo lub chęć użycia nieprzyzwoitych wyrazów i pomsty obrażającej Boga, niech sobie przypomni zastępy miłośników i obrońców języka polskiego z opisanym tutaj chłopem Jerzym Treską na czele.

Marian Padechowicz

Pij bracie pij!

Pijacka śpiewka. Miłośnicy wódki korzystają z każdej okazji, aby sobie popić.

Kiedy im zimno i muszą się rozgrzać, piją wódkę.

Kiedy im smutno — zalewają robaka wódką.

Kiedy witają przyjaciela, który wrócił do domu po latach rozłąki — wódką się częstują.

Podczas zabawy piją wódkę na... zdrowie miłych gości.

Kupiło się nowe palto — wódką się je oblewa.

Jeżeli dobrze się załatwiło interes — trzeba go wódką przypieczętować.

I tak zawsze i wszędzie, powtarza się pijacka śpiewka: pij, bracie, pij!

Taki jej początek! Wesoły, pełen otuchy...

A koniec?

Jest kilka końców — wyliczymy je po kolei.

Wódka a dobrobyt. Już niejeden stracił majątek przez wódkę. Pijak w jeden wieczór zostawia w knajpie całotygodniowy, a nieraz całomiesięczny zarobek. Zapomina, że w domu czeka na niego żona, że dzieci wyglądają tatusia, którego cały dzień nie widziały... Wreszcie tatuś wraca do domu „zawiany" i bez pieniędzy... Żona jutro nie ugotuje obiadu, bo nie ma za co, a dzieci przestają chodzić do szkoły, bo nie ma za co bucików naprawić.

I tak się powtarza tydzień za tygodniem... W domu nędza i głód. Dzieci z niedożywienia zapadają na suchoty. A tatuś pije... Wreszcie traci posadę, bo żadna fabryka nie chce trzymać robotnika czy urzędnika pijaka... Może sobie wtedy zaśpiewać:

Pij, bracie, pij!
Aż ci zostanie
Torba i kij!

Wódka a zdrowie. Alkohol zżera tkanki, zatruwa krew, osłabia serce, niszczy żołądek, paraliżuje mózg i sprowadza przedwczesną starość. Pijak zapada łatwo na choroby, gdyż organizm traci wrodzoną odporność. Już za życia, przed włożeniem do trumny następuje rozkład pijaka.

Pij, bracie, pij!
A gdy stracisz zdrowie
biadaj i gnij!

Wódka a moralność. Żaden pijak nie ma silnej woli. On tyle razy łamał swoje postanowienia i na nowo upadał. W dodatku, gdy się upije, działalność mózgu jest sparaliżowana — on nie ma nawet świadomości swych czynów. W takim stanie jest zdolny do każdej zbrodni...

Kto wszczyna bójki i rozprawy nożowe?

Kto zadaje gwałt niewinnym istotom i krzywdzi je na całe życie?

Kto żonę własną bije do krwi i targa za włosy na oczach drobnych dzieci?

Która panna zapomniała o swoim honorze i uległa namowom? Czy nie ta, co zgodziła się wypić kilka kieliszków? Czasami nawet jeden wystarczył.

Wódka a Ojczyzna. Wódka zabija w człowieku wszystko, co szlachetne. Wiedzieli o tym hitlerowcy, dlatego podczas okupacji rozpijali cały naród. Za kontyngenty zboża dawali wódkę, podczas pracy przy okopach poili młodzież wódką, gdy szpiedzy ich pragnęli wydobyć tajemnicę wojskową, częstowali naiwnych wódką. Wódka rozwiązywała najbardziej zakonspirowane języki i wtedy nowe tysiące wędrowały do Oświęcimia i na Majdanek.

Zaiste, „naród pijaków zamienia się w hordę niewolników" (list pasterski Episkopatu polskiego).

Władze Państwowe wydały w walce z alkoholizmem cały szereg przepisów. Akcja specjalnych poradni, wydawnictwa broszur i książek, wygłaszane odczyty przez Służbę Zdrowia wydatnie przyczyniają się do likwidowania alkoholizmu.

Pij, bracie, pij!
I jako wróg Polski
nikczemnie żyj!

Wódka a Zbawienie Wieczne. Skończy się niezadługo marne życie pijaka. A co potem?

„Bracia, nie łudźcie się — pisze św. Paweł do Koryntian — ani rozpustnicy, ani pijacy nie wejdą do Królestwa Niebieskiego"...

Bo jakże pijak trafi do Królestwa Niebieskiego, jeżeli on do własnego domu trafić nie może?

Więc co robić?

P r e c z z w ó d k ą !

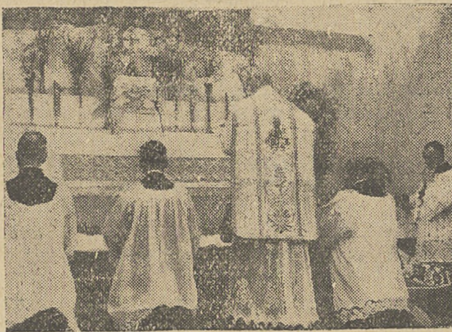
Usunąć alkohol z naszych przyjęć i zabaw.

Niech panny i kobiety Polki uważają za hańbę dla siebie maczanie ust w kieliszku! Dopóki Polki piją, żaden Polak z pijaństwa nie powstanie.

Unikać domów, w których gości chętnie wódką raczą. Zastąpić wódkę napojami bezalkoholowymi.

Z parafii Anin koło Warszawy

W odległości 10 km od centrum Warszawy leży Anin. Dotychczasowy drewniany kościół okazuje się za szczupły, aby pomieścić w czasie niedzielnych i świątecznych nabożeństw wszystkich parafian. Parafianie Anina zachęceni przez swego proboszcza, zorganizowali



komitet kościelny, który się zajmuje się zbieraniem funduszów na budowę nowego, murowanego i obszernego kościoła.

Parafia miała szczęście gościć J. E. Ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego, który po nabożeństwie odprawionym przed ołtarzem przybranym przed wejściem do kościoła, dokonał bierzmowania młodzieży.

W czasie nabożeństwa towarzyszyli Arcypasterzowi księża z Wawra, Gocławka i Grochowa. **W. K-ski.**



Przyczyną cierpienia jest nie sam brak Dobra i trud walki o nie, lecz brak woli posiadania go i niechęć do walczenia o nie. Walka o Dobro — to treść życia, to rozkosz!

Zło zsyła Bóg na nas nie po to, byśmy przed nim uciekali, lecz po to, byśmy je zwalczali i przez trud walki tej niebo sobie wysłużyli.

Redaktor: Ks. Stanisław Piotrowski
Redakcja i Administracja: Włocławek, ul. Waryńskiego 4. Tel. 16-49. Skrzynka poczt. nr 3. Przyjmuje w godz. od 8—10. Prenumerata z przes. pocztową kwartalnie zł 7.20, półroczna zł 14.40, roczna zł 28.80.
BZG., Zakład nr 17 Włocławek, Waryńskiego 4. Nr. zam. 993 — 15.5.51 — E-2-14665 — 25.000